№ 2 WARSZAWA, DNIA 13 STYCZNIA 1912 ROKU ROK II

# NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

## REGALJA KRÓLEWSKIE.

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

Ciąg dalszy.

Gdy profesor ją spostrzegł – zawołał:

— Marcinowo!.. pakuj mi rzeczy.., wyeżdżam... wyjeżdżam, jak najprędzej.

Kobiecina wzruszyła ramionami, i przeegnawszy się raz jeszcze, rzekła:

Ciekawa jestem, ktoby tam myślał o tem, żeby pan profesor zjadł co i przespał się?

Lecz w profesorze zapał nie stygł ani na chwilę, przeciwnie rósł z każdą sekundą.



— Wszelki duch Pana Boga chwali! Co też pan profesor wygaduje?.. Gdzie pan jedzie?.. Po co?.. A toż w domu sobie rady dać nie może, a dopiero w podróży...

— Jadę, i już!... Niech mi Marcinowa nie oponuje... Proszę wykonać to, o co prosiłem!

Lecz Marcinowa nie ustępowała. Stała

ze skrzyżowanemi na piersiach rękami przy progu i patrząc na niego pełnemi zdziwienia, a zarazem i politowania oczami, kiwając głową, odrzekła:

— A toż chyba bym Boga w sercu nie miała, żebym panu profesorowi do takiej rzeczy dopomagała... A toż jak dziś pamiętam, gdy świętej pamięci nieboszczka pani profesorowa na śmiertelnem leżąc łożu, mówiła do mnie: „Moja Marcinowo, a pamiętaj ty tam o moim mężu... powierzam go twojej opiece, bo on jest niemocny i bezradny jak małe dziecko... Dbaj o wygody jego i nie pozwól, ażeby robił jakie głupstwa, bo mu tylko na szkodę one wyjdą”.

Tu własne słowa tak rozczuliły poczciwą panią Marcinową, że aż naprawdę płakać poczęła. Ująwszy za róg fartucha, ocierać nim zaczęła łzy, obficie po twarzy płynące i wreszcie, po jakimś czasie, głosem przerywanym ze wzruszenia, dalej mówić zaczęła:

— I ja... święcie... wypełnię to przykazanie nieboszczki mej pani... nie pozwolę panu profesorowi na podobne głupstwa... nie pozwolę na nic nadzwyczajnego... na nic takiego, coby mu zaskodzić mogło... W podróż się chce puszczać, takie chudziątko, żeby gdzie tam zamarzł w drodze...

Tu już gadanina jej zniecierpliwiła nadobre profesora, pomimo wzruszenia, jakie go ogarnęło na wspomnienie nieboszczki żony.

Opanowany nagłym przypływem energji, zwrócił się do niej i rzekł stanowczym, o ile tylko umiał, głosem:

— Moja Marcinowo... proszę mi tu nie gadać głupstw i zrobić to, o co proszę!

To stropiło trochę gadatliwą Marcinową... Nic już nie rzekła, tylko wyszła z pokoju, zatrzaskując mocno drzwi za sobą.

Profesor, pozostawszy sam, odetchnął z ulgą. Nareszcie się jej pozbył. Zasiadł przy biurku i rozmyślać począł nad swoją podróżą.

Teraz stanęła przed nim nowa kwestja: w jaki sposób odbyć ową podróż?..

Koleją? wobec niewielkiej liczby linji kolejowej u nas i wogóle niedoskonałości tej komunikacji, nie mógłby dotrzeć do wielu miejsc, gdzie poszukiwania chciał czynić... Chyba by wysiadał na poszczególnych stacjach i do miejsc owych docierał albo pieszo, albo końmi.

Lecz to utrudniało znacznie by podróż i wpływało ujemnie na jej ciągłość.

Samochodem również nie wszędzie można dojechać ze względu na stan dróg naszych.

I naraz wspomniał sobie profesor dawne te czasy, kiedy to jeździło się, wolno coprawda, lecz możebnie wygodnie, końmi, rzemiennym dyszlem, od wioski do wioski, od miasta do miasta.

Przynajmniej można dotrzeć wszędzie, poczciwe koniska nie ulękną się choćby i najgorszej drogi.

Tak — i on swą podróż odbędzie w ten sposób!

Postanowiwszy to, rozmyślać zaczął nad dalszem wykonaniem tego planu.

Trzeba teraz było znaleźć kogoś, ktoby zajął się kupnem koni i bryki, a w czasie podróży — powożeniem i opieką nad niemi.

I oto przyszedł mu na myśl nikt inny, tylko rodzony siostrzeniec Marcinowej, Tomasz, który służył jako stangret w jakiejś remizie, a obecnie, jak mu ostatnio wspominała gospodyni, był bez miejsca.

Przypomniał sobie i adres jego, który mu niedawno babina dała, prosząc o wynalezienie miejsca — napisał więc kartkę i pocichu, by go Marcinowa nie spostrzegła, ubrał się i wysunąwszy się z mieszkania, posłał z nią stróża, dodając jeszcze ustne polecenie, by Tomasz przychodził jak najprędzej.

Nie długo czekał... Nie upłynęło nawet

i pół godziny, gdy w kuchni dał się słyszeć piskliwy dyszkancik Marcinowej, pyjącej:

— A ty co tu chcesz, Tomku?..

A potem grubym głosem odpowiedź:

— A to pan profesor przysyłali do mnie, ciotko!..

I po chwili do gabinetu profesora wszedł chłop wysoki, tęgi, o dość rozumnej twarzy, a za nim wsunęła się Marcinowa, z coraz większem zdumieniem patrząca na to wszystko.

Skłonił się Tomasz profesorowi i wyprostowany czekał u progu na to, co ten mu powie.

— Mój Tomaszu — rzekł profesor Nicki:—znacie się dobrze na koniach?

— Ojoj — dlaczego by nie, proszę łaski pana profesora!

— Czybyście więc mogli podjąć się kupna dla mnie pary dobrych koni i mocnej bryki, a potem udać się ze mną w podróż i opiekować się niemi... Jak długą będzie ta podróż — sam nie wiem... Może potrwa ona miesiąc, może dwa, a może i tydzień, lub pół roku... O wynagrodzeniu nic nie mówię, gdyż możecie być pewni, że nic wam nie poskąpię za wasze trudy. Powiedzcie tylko, czy zgadzacie się na to?

Podrapał się w głowę Tomasz i już miał odpowiedzieć, gdy naraz jak pantera rzuciła się na niego Marcinowa i chwytając za kołnierz, ciągnąć ku drzwiom poczęła, wołając:

— A pójdziesz ty stąd, zatracony chłopie!.. Jeszcze i on tu będzie pana profesora kusił do złego i pomagał mu!

Mnie nieboszczka pani na śmiertelnem łożu opiekę nad panem zleciła i na żadne warjacje nie pozwolę!

I tuzała tak energicznie biednego chłopa, że ten tylko rękoma głowę od ciosów zasłaniał.

To jej wystąpienie wyprowadziło ostatecznie z granic cierpliwości profesora.

Schwytał ją silnie za ramię i odciągając od Tomasza, rzekł z niezwykłą energją w głosie:

— Moja Marcinowo, dość już tego! Będzie tak, jak ja chcę... Proszę nie wtrącać się w moje sprawy... Muszę jechać i pojadę, a Marcinowa ma cicho siedzieć.

Marcinowa puściła Tomasza, a ten usunął się pod ścianę, z pewną obawą patrząc na potężne jej pięści.

Profesor zaś, wyjąwszy z biurka pieniądze, doręczył je Tomaszowi, mówiąc:

— Moi kochani, proszę więc, zajmijcie się tem wszystkiem, kupcie wszystko, co potrzeba, tylko postarajcie się, ażeby to wszystko było mocne i trwałe, gdyż czeka nas długa i uciążliwa podróż, po drogach niezbyt świetnych.

Poczem, zwracając się do Marcinowej, dodał:

— Zapakujcie mi Marcinowo, na pojutrze walizkę, ja zaś sam zajmę się resztą... Tylko niech stolarz przygotuje mi skrzynię na pomieszczenie tego wszystkiego. Na jutro wieczór ma być gotową, gdyż pojutrze wyjeżdżam.

Wydawszy wszystkie te rozporządzenia głosem silnym, energicznym, profesor Nicki, jakby chcąc złagodzić wrażenie, wywołane tym wybuchem swoim, dodał tonem już znacznie łagodniejszym:

*D. c. n.*

## Gustaw le Rouge.

# NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy.

— Lecz przed chwilą mówiłeś pan o panterach?

— To nie na serjo; są one w Tunisie nader rzadkie i ledwie czasem, raz na kilka lat można jedną schwytać. Zresztą, Zaruk, będąc rodem z Sudanu, nie więcej się obawia panter, aniżeli hyen. To musi być coś innego!

— Zaraz się dowiemy; już odzyskuje przytomność!

— Czy możesz teraz mówić?—spytał Ralf murzyna—jaki jednak tchórz z ciebie! Wiesz przecie, że przy nas nic ci nie grozi! Doprawdy, miałem cię za odważniejszego.

— Panie — rzekł murzyn bezdźwięcznym głosem—Zaruk być odważnym — ale ty nie wiedzieć... ach, to straszne! Zaruk nie lękać się zwierząt, ani ptaków drapieżnych — ale bać się, oh, bardzo się bać z?ych duchów!

— Co to ma znaczyć?

— Panie, ja przysięgać na imię potężnego i miłosiernego Allaha, na świętą brodę proroka nad prorokami, Mahometa... ja przed chwilą być dotkniętym skrzydłem dżinn'a, może nawet samego Eblisa! Wszystka krew zbiegnąć mi do serca... ledwie zdążyć wymówić trzy razy święte imię Allaha, przed którem pierzchać wszystkie dżinny, gole i diwy... *) Przez krótką chwilę, straszliwa płomienna twarz ukazać mi się w otaczających mnie ciemnościach i odlecieć natychmiast na skrzydłach... Panie, ja przysięgać: przez tę jedną chwilę ja to wszystko widzieć!

— Czyż to możebne? — rzekł Ralf niedowierzająco — a czemuż myśmy nic nie widzieli? Musiało to być złudzenie, widziadło, jakie często miewają palacze opium... Pociągnij dobry łyk tej buka**) a zapomnisz o tem głupstwie!

Murzyn pochwycił butelkę z napojem i połknął chciwie kilka łyków, potem rzekł powoli:

— Ja mówić prawdę... to nie być widziadło! Wy sami widzieć ptaki uciekające i muła wystraszonego, drżącego, jak przed lwem, dlaczego? Bo i oni wszyscy zlęknąć się bardzo! Wszechmogący Allah rozkazać moim umarłym źrenicom widzieć przez chwilę, aby nas ostrzedz przed niebezpieczeństwem!

— Ja jednak twierdzę, że to było przywidzeniem — zapewne pod jego wpływem szarpnąłeś uzdę muła, co go przestraszyło, a ptaki może się zlękły [illegible] zelatującego sępa...

Zaruk pokręcił głową przecząco: tłoma-

*) Złe duchy. **) Wódka figowa.

czenie naturalisty, jako nie zgadzające się z jego wiarą w złe duchy, nie trafiało mu do przekonania; jego kędzierzawa głowa była zbyt upartą!

Ralf z Jerzym poszli nieco naprzód i naturalista rzekł do swego gościa:

— Ten murzyn jest ciekawym typem! Pomimo swego kalectwa, jest idealnym służącym, gdyż jego słuch, powonienie i dotyk są nadzwyczaj czułe i wrażliwe; w laboratorjum zna wybornie wszystkie przedmioty i nigdy się w nich nie myli. Co ważniejsze, może określić liczbę i położenie obłoków na niebie, a kiedyśmy go wzięli z sobą na polowanie, zdumiewał nas celnością swoich strzałów.

— Tak, to dosyć, jak na niewidomego!

— Co więcej, jeśli tylko raz był w czyjem towarzystwie, wyczuje obecność jego za każdym razem, bez namysłu.

— To jest rzeczywiście zdumiewające; można to jednak sobie wytłomaczyć, gdyż podobne wypadki już się zdarzały...

— Zapewniam pana jednak, że Zaruk przedstawia nader ciekawy materjał do obserwacji i niedaleki jestem od prawdy, przypuszczając, że jego źrenice oddzielone bielmem od zwykłego światła, muszą być nader wrażliwe na promienie ciemne, promienie X i inne ich rodzaje, dotąd nie zbadane. Cóż w tem jest niemożebnego?

Jerzy milczał, mocno zajęty tą śmiałą hypotezą.

— Dlaczegoż dotąd nie poddano go operacji?

— Kapitan chciał tego dawno, lecz Zaruk sprzeciwia się stanowczo.

Zapanowało milczenie. Nagle dała się słyszeć melodja tęskna a przeciągła, powtarzająca się wciąż; jedna z tych, które wygrywają przewodnicy karawan, sunących długim sznurem wśród równin rozpalonego piasku.

Jerzy uległ urokowi tej muzyki, w której słyszał tęskne zawodzenie pustynnego wichru...

— To, co posłyszałem od pana — rzekł w końcu — nie jest wcale pocieszającem: jeśli Zaruk jest tak wrażliwym, to w tem co mówi, musi być część prawdy!

— Kto wie? — szepnął Ralf zamyślony — Szekspir ma słuszność, mówiąc, iż na niebie i ziemi jest wiele rzeczy, o których się nie śni najmędrszym... Może ten murzyn jest zwiastunem ewolucji oka ludzkiego, które, po upływie setek lat, lub nieco wcześniej, będzie mogło rozróżniać promieniowania, dotąd nam nieznane?

— To przypuszczenie zbyt śmiałe! — rzekł Jerzy.

— Dlaczego? Czyż i teraz, ludzie pogrążeni w śnie hypnotycznym, nie widzą osób oddalonych, lub przegrodzonych od nich grubym murem? A przecież wtedy mają oczy zamknięte! Dokładne zbadanie tych objawów, zamieni je w niezbite pewniki.

— Co to są owe d ż i n n y, o których Zaruk wspominał? Co prawda, to mitologja mahometańska, wobec nauk poważniejszych, całkiem się ulotniła z mojej pamięci...

— Wiem o nich nie więcej od pana; ale zapytamy o nie Zaruka. Jest on w tym przedmiocie niewyczerpanym, a wyobraźnia jego jest pełną owych cudownych baśni, które się opowiadają zwykle przy ogniskach karawan, obozujących w pustyni.

— Zaruk! — zawołał głośno.

— Panie — odpowiedział murzyn, zbliżając się — ja słyszeć pytanie twego przyjaciela. Ale czy to rozsądnie mówić o tych strasznych istotach, kiedy one może krążyć dokoła nas?

— Nie bój się! Przecież sam mówiłeś, że w godzinę mogą przelatywać setki mil? Jeśli nawet tu były, to już muszą być daleko.

To rozumowanie napełniło radością Zaruka.

— Bezwątpienia! — zawołał z westchnie-

niem ulgi—to być prawdą i ja nie kłamać, ale ja się teraz niczego nie bać: Allah nas obronić!

I mówił dalej, głosem śpiewnym i nieco nosowym:

— Dżinny, to duchy niewidzialne: one zamieszkiwać między ziemią i niebem, a jest ich tysiąc razy więcej, aniżeli ludzi i zwierząt... Są między niemi dobre i złe — tych być wiele, wiele więcej! Oni być posłuszni Iblisowi, któremu Allah dać niezależność aż do dnia sądu ostatecznego... Mądry sułtan Sulejman (Salomon) szanowany nawet przez żydów i niewiernych, dostać od Allaha kamień zielony, błyszczący jak gwiazda: ten mu dać władzę rozkazywania tym duchom. One go do śmierci słuchać i nawet zbudować świątynię jerozolimską — ale po jego skonie dżinny rozproszyć się po całym świecie i popełniać wszelkie zbrodnie i dokuczać, oh, jak dokuczać ludziom!...

Zaruk w tym przedmiocie był niewyczerpanym i wyliczał długo różne rodzaje złych duchów i ich straszliwe własności.

Ralf i Jerzy milczeli; zdawało im się, że są dziećmi i słuchają z przejęciem baśni z «Tysiąca i jednej nocy», a powaga Zaruka, jego głęboka wiara w to wszystko, co mówił—dodawały uroku temu opowiadaniu.

Mówił on przytem płynnie po francusku, nie umiał tylko sobie radzić z czasownikami, których używał zawsze w trybie bezokolicznym.

Zajęci jego opowiadaniem, ani się spostrzegli, kiedy stanęli przed willą Palmową.

## II. Willa Palmowa.

Zbudowana w głębi wielkiej doliny, willa miss Alberty wynurzała się, jak biała marmurowa wyspa, z otaczającego ją oceanu zieloności. Umiejętne i harmonijne połączenie cudów arabskiej architektury z wykwintem pałaców weneckich, czyniły ją wprost czarowną; był to cudny sen, urzeczywistniony przy pomocy miljonów bankiera Téramond'a. Od żywych kolorów przepysznych mozaik, pokrywających ściany i podłogi, odcinała się białość kolumn marmurowych, podtrzymujących galerje, rzeźbione delikatnie, jak koronka, przez artystów opłacanych na wagę złota. Lazurowe kopuły i złocone dachy, błyszczące w słońcu, nadawały pozór czarodziejski całej tej budowli.

Jerzy stał w nieruchomym podziwie przed tym cudem budownictwa.

— Jakże się panu podoba nasze mieszkanko?—spytał Ralf dobrodusznie.

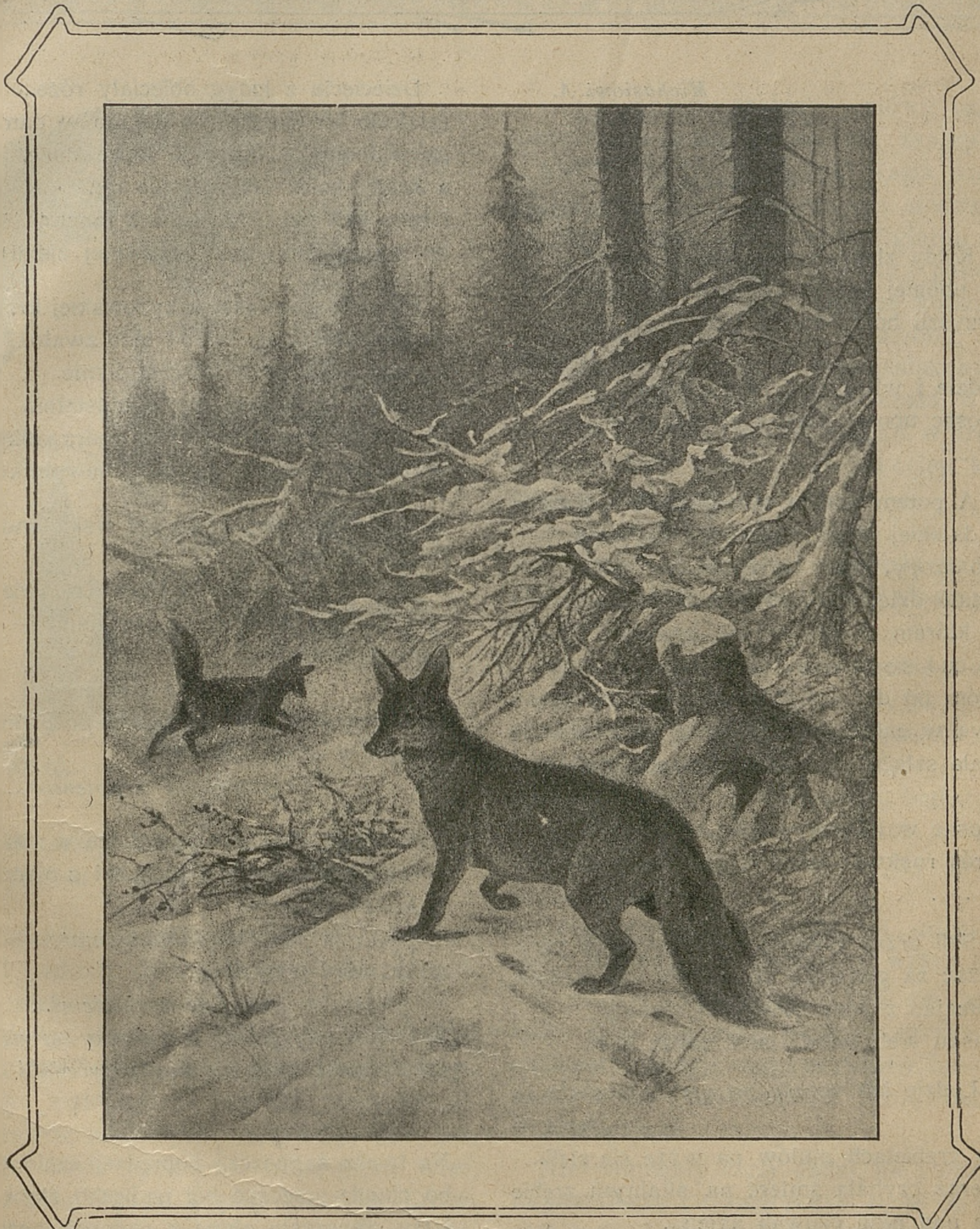
— Myślę, że pałac Aladyna jest wobec tego, co tu widzę, wstrętną i nędzną lepianką.

— No, nie przesadzajmy, mój młody przyjacielu! Przyznać jednak trzeba, że łączy on w sobie szlachetną piękność włoskiej architektury i niedbały wdzięk arabskiej z drobiazgową wygodą i komfortem angielskim.

— Zdawało mi się, iż dach jest w części szklanym?

— Tak, nad tarasem, mieszczącym nasze laboratorjum; zaś w jednej z kopuł mamy obserwatorjum z teleskopem, niewidocznym z zewnątrz. Ten czarowny pałac niczem nie zdradza tego, iż jest prawdziwym arsenałem, bogato zaopatrzonym w potężne narzędzia wiedzy i nauki... Zresztą, o tem sam się pan wkrótce przekonasz.

*D. c. n.*



LISY ZIMĄ.

# ZA GWIAZDĄ.

*Michasiowi A.*

— «Przybieżeli pastuszkowie
do szopeczki z oddali;
a za nimi trzej królowie
i dary składali»...
*Wyjątek z kolendy ludowej...*

Kiedy złożono małe Dziecię Boże
w ubogiej szopie na wiązeczce siana...
Przyszli hołd oddać... hołd — Bogu,
w pokorze
ludzie i witać serc ofiarą Pana...
niosąc ubogie dary z swej krainy...
. . . . . . . . . . . . . . . . . .

A potem wiodła tam gwiazda nieznana
z dalekiej ziemi mędrców i mocarzy
Do szopy, kędy na wiązeczce siana
leżało dziecko o przecudnej twarzy...
O którem dawno mówili prorocy,
że cud się stanie... (Stał się onej nocy,
którą po dziś dzień Narodzenia Nocą
zwą w całym świecie). A z nimi dziecina
mała szła w bezmiar... dziwną pchnięta
mocą...
niosąc w ofierze dzikie swoje wina
i róż rozkwitłych gałązki z kolcami...
. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Szli przez równiny — niebotyczne góry
dążąc za gwiazdą, co wiodła ich w dale,
rzucając z poza ołowianej chmury
blasku srebrnego... jaśni pełne fale...

Łodzie ich wiozły po przez morskie
głębie —
Na grzbietach mułów na wyże się pięli...
Nieraz czyhała śmierć na skalnym zrębie
ale nad nimi czuwali anieli...
(I niewidzialni pilnie nocą strzegli,
gdy wędrownicy na spoczynek legli,
by ich nieszczęście nie chwyciło
w szpony).

Dziecięciu z łodyg obleciały róże...
(płakało biedne, że nie da nic w dani...
gałązki niosło... na nich kolce duże,
a każdy kolec tak boleśnie rani
i rękę krwawi... Ale szło z innemi
by złożyć Panu hołd ze swojej ziemi).

Przyszli do miasta w żydowskiej krainie,
co Betleemem się wśród ludu zwało...
i pytać jęli, czy o Boskim Synie
wiedzą i kędy stać się to musiało?..
(A liczny orszak był tych wędrowników,
wielbłądy, konie... mnóstwo niewolników.

I dziecię małe) drogę im wskazano...
Poszli do szopy...
— Naprzód trzej Królowie
złożyli dary, dziwiąc się, że siano —
Panu posłaniem...
Na to Matka powie: —
«*On przyszedł na świat, aby pokolenia
odkupić z winy...
Przyszedł na cierpienia*»...

A potem dziecię niesie kolce w darze
krwią obroczone... i podchodzi z niemi...
A Matka Boża: —
— *Oto dań ta zmaże
winy wam wszystkim...
— Oto los twej ziemi...
Jak Syn mój włoży cierniową koronę,
tak i twa ziemia się nią przyozdobi...*
. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Na twarz zapuszcza co prędzej zasłonę,
bo chwila przeczuć ból na licach żłobi
i łzy srebrzyste płyną z cudnych oczu —
(łzy, co jak gwiazdy świecące
w przezroczu).

*St. Leonard Kociemski.*




*I. Odważny Kazio. Opowiadanie o przyjacielu Franka i innych pająkach.*

Kazio był wogóle rozsądnym chłopcem, miał jednak dziwny wstręt do różnych stworzeń, przechodzący aż w obawę.

Gdyby się bał nieznanych psów albo ponurego buhaja, byłoby to jeszcze zrozumiałe, zwierzęta te bowiem mogłyby mu naprawdę zrobić jaką krzywdę. Ale nie: Kazio szedł spokojnie ulicą przez wieś, choć koło domów kręciły się różne Kruczki, Szarusie lub inne psy, umiejące nietylko szczekać ale i kąsać. Buhajowi nie nasuwał się wprawdzie na oczy, ale też i nie uciekał z krzykiem, gdy go zobaczył na łące.

— Cóż one mi zrobią? — mówił bardzo rozsądnie: — przecież ich nie zaczepiam.

Ale za to ten rozsądek Kazia znikał gdzieś bez śladu, gdy czasem siostrzyczka jego Jadzia, dość zresztą figlarna osoba, podeszła do niego cichutko i położyła mu niewinną, zieloną żabkę na kolanach.

Kazio podskakiwał, jak oparzony, tak, że żaba, wyrzucona w tym podskoku do góry, wywracała porządnego kozła w powietrzu i padała gdzieś daleko w trawę. A Kazio biegł przed siebie na oślep, krzycząc w niebogłosy:

— Żaba! żaba! żaba!

— To i cóż, że żaba! — wołała za nim Jadzia — ukąsi ciebie, czy co? niema przecie zębów!

Kazio zatrzymywał się wreszcie i oglądając się na wszystkie strony, jak gdyby obawiał się jeszcze, że ta straszna żaba wyskoczy skąd, mówił żałośnie:

— Ale kiedy mi tak zimno! brr!

— No, no — żartowała Jadzia — gdybym to ja zrobiła, baba, to by jeszcze uszło. Ale ty — mężczyzna!

Kazio wstydził się, ale na drugi raz znów uciekał i wrzeszczał na widok żaby.

I gdybyż przynajmniej bał się jednej tylko żaby: ale jego tak samo można było nastraszyć małym chrząszczykiem lub skorkiem, a już nadewszystko grozę budziły w nim pająki.

Nie pomagały żarty Jadzi, nie pomagały napomnienia i tłomaczenia, że to są przecież małe i nieszkodliwe zwierzątka. Kazio nie mógł się pozbyć obawy, nie mógł oduczyć się krzyków na ich widok.

Zresztą dobry to był i pilny chłopak, uczył się chętnie i myślał już nawet o wstą-

pieniu do szkół. Właśnie w tym roku dla ostatecznego przygotowania go do egzaminu do szkoły, miał do niego przyjechać na całe lato brat cioteczny, Franek, uczeń klasy ósmej.

— Ciekawa jestem, co ty będziesz robić, gdy przyjedzie Franek, który ma zwyczaj hodować różne jaszczurki, owady i inne stworzenia? — mówiła Jadzia—będziesz chyba ciągle krzyczał?

Kazio nic nie odpowiedział, ale i jego niepokoiło trochę zamiłowanie Franka do różnych wstrętnych stworzeń, nie chciał jednak bardzo o tem myśleć, tembardziej, że lubił Franka, który był chłopakiem wesołym i doskonale umiał się z nim bawić.

W kilka dni później przyjechał Franek i zaraz na drugi dzień rano rozpoczął lekcję z Kaziem. Zaraz też na tej pierwszej lekcji zdarzył się przypadek z pająkiem.

Kazio przygotował do lekcji bardzo porządnie książki, zeszyty, atrament i pióro i już miał się wziąć do pracy, gdy nagle z krzykiem odskoczył od stołu.

— Cóż się stało? cóżeś tam zobaczył?— spytał Franek.

— Pająk! pająk! — krzyczał Kazio—siedzi mi na ubraniu!

— Więc cóż z tego!

— Jakto! może mnie ugryźć. Zdejm go, zdejm Franku, jak mnie kochasz!

— Co prawda, mógłbyś go sam strącić, jeśli ci zawadza. Zdejmę go jednak, żeby cię przekonać, że pająk jest zupełnie nieszkodliwem stworzeniem.

Z temi słowy Franek strącił go na własną rękę i mówił dalej:

— Dla ludzi ukąszenie pająka jest zupełnie nieszkodliwe; zresztą pająki nie mają żadnego powodu do kąsania ludzi.

— Ale przecież mówią o tem, że pająki są jadowite!

— Tak, ale dla owadów i różnych drobnych żyjątek, które zabijają jadem, wpuszczonym do zadanej ranki. Dla ludzi szkodliwe są jedynie niektóre gatunki z południowych krajów, ale ich tu niema i my obawiać się ich nie potrzebujemy, Zamiast krzyczeć na widok pająków, lepiejbyś zrobił, gdybyś mu się przyjrzał uważnie, a zająłby cię wtedy napewno. Jestem przekonany, żeś go nigdy nie widział zblizka.

— Naturalnie — odrzekł Kazio, wstrząsając się.

Franek strącił pająka na stół i przykrył go szklanką, żeby nie mógł uciec, poczem spytał Kazia:

— Ile też pająk ma nóg? pewnie nie wiesz.

— Sze... sześć — bąknął niepewnie Kazio.

— Przypatrz mu się i porachuj.

Pająk był pod szklanką, nie wydawał się więc tak groźnym i Kazio, nachyliwszy się nad stołem, zaczął mu się przyglądać.

Okazało się, że pająk miał nóg nie sześć, ale osiem: były one dość cienkie i długie, cztery skierowane ku przodowi a cztery do tyłu. Te rozstawione, długie nogi przejmowały Kazia dreszczem.

— Brr! jakie to wstrętne stworzenie! jak się możesz tem nie brzydzić i nie bać się tego! Ja się nigdy nie pozbędę wstrętu! To tylko ty masz zamiłowanie do takich obrzydliwych stworzeń.

— Myślisz, Kaziu, że i ja nigdy nie bałem się pająków?

— Co? Ty, ty, Franku, bałeś się ich? Kiedyż to było?

— Eh, już dawno, po prostu wtedy, kiedy byłem jeszcze... strasznie niemądry. A wiesz, kto mię oduczył? Moja babcia. Narobiłem raz przy niej krzyku i wrzasku, zobaczywszy pająka na swojem ubraniu. Babcia dała mi wtenczas porządną burę, a, następnie, żeby mię przekonać o nieszkodliwości pająka, posadziła go sobie na ręce, a potem zaprowadziła mię do ogrodu, gdzie w krzaku znajdowała się siatka pa-

jęcza. Tam zwróciła mi uwagę na jej piękną budowę a zarazem pouczyła mię o pożyteczności pająków, które tępią mnóstwo szkodliwych i dokuczliwych owadów.

— Słyszałem i ja o tej pożyteczności pająków. Ale przecie dla tego nie można ich znosić w pokoju, ślicznieby on wyglądał, gdyby tak pozwolić im snuć pajęczynę w każdym kącie.

— Zapewne, że nie było by to porządnie. Znasz pewnie zagadkę o pajęczynie: „kto o mnie dba ten mnie nie ma, a kto o mnie nie dba, ten mnie ma”. Pajęczynę nie tylko można, ale i trzeba niszczyć, gdy pająk ją zasnuje w niewłaściwem miejscu. Ale z tego nie wynika jeszcze, by bez potrzeby zabijać lub tępić na każdem miejscu same pająki, a tem bardziej, by ich się obawiać.

— Przyznasz jednak, Franku, że są to brzydkie stworzenia, na które aż spojrzeć nie miło; a także że... tu Kazio trochę się zawahał, a po chwili dodał głosem niepewnym: że ich ukazanie się wróży coś niedobrego.

— Nie przypuszczałem nawet, żebyś mógł wierzyć w takie głupstwa — odparł Franek — porozmawiamy o tem jeszcze, ale później. Teraz zaś bierzmy się do lekcji, bo i tak dość czasu straciliśmy na pająki.

Lekcja poszła dobrze bo Kazio był uważnym chłopcem i uczył się zawsze dobrze. Ale przy końcu lekcji zdarzył się mały przypadek: Kazio trącił kałamarz i... struga atramentu polała się na zeszyt, stół i podłogę.

— A co! -- zawołał z tryumfem — nie mówiłem, pająk zrana nigdy nie wróży nic dobrego!

— Nie wiedziałem, że macie tu takie mądre pająki, które nawet potrafią przewidzieć niezgrabność czyjąś. I nie przypuszczałem także, że taki stateczny chłopak, jak ty, będzie zwalał swoją nieuwagę na pająka. Więc ty dla tego byłeś niezgrabny, żeś widział pająka przed lekcją?

— Stara Wincentowa zawsze tak mówi, że pająk rano wróży coś niedobrego—mówił Kazio niepewnym głosem.

-- Dałbyś już spokój powtarzaniu takich bredni. Zamiast tego zetrzyj lepiej atrament i dokończmy lekcji. A potem opowiem ci o swoim przyjacielu pająku.

Kazio był ogromnie zdziwiony wiadomością o przyjaźni Franka z pająkiem i zaraz po lekcji upomniał się o tę historję.

— Było to tak — zaczął Franek — przed dwoma laty chorowałem ciężko przez parę miesięcy i musiałem dłuższy czas przeleżeć w łóżku. Nudziło mi się strasznie, bo niczem zajmować się nie mogłem, nie wolno mi było nawet czytać dłużej, żeby się nie męczyć. W takich chwilach przymusowej bezczynności wynalazłem sobie rozrywkę w obserwowaniu pająka, który osiedlił się w rogu pokoju i spuszczał się nieraz aż na poręcz łóżka. Wyprosiłem mu życie i pozostawienie w spokoju pajęczyny, a gdy już zacząłem wstawać, łapałem muchy i dawałem mu, kładąc je szczypczykami na brzegu pajęczyny. Oswoił się ze mną tak dalece, że sam zjawiał się natychmiast, gdy trąciłem jego pajęczynę. a muchy brał wprost ze szczypczyków, Śmiano się nawet w domu z tej mojej przyjaźni i przezwano pająka moim przyjacielem. Gdy ktokolwiek zobaczył w domu jakiego pająka, zaraz mówił:

— O, przyjaciel Franka!

— Cóż się z nim dalej stało? — spytał Kazio, widocznie zajęty tą historją.

*(D. c. n.).*

# CUDA ELEKTRYCZNOŚCI.

Ciąg dalszy.

Tesla przewiduje, że zastosowanie siły wybuchowej elektryczności, jako środka obrony usunie potrzebę dotychczasowych uzbrojeń. Dzisiejsze środki wojenne, niezmiernie kosztowne, pochłaniające obecnie bardzo znaczną część dochodów państwowych, będą zastąpione przez inne, o wiele skuteczniejsze, a pomimo to prostsze i bez porównania tańsze urządzenia.

Na miejsce olbrzymich uzbrojonych armji będą prawdopodobnie wchodzić w użycie automatyczne machiny wojenne, wprawiane w ruch z bardzo dużej odległości i wymagające bardzo nielicznej obsługi. Używane dziś działa szybkostrzelne, pociski wybuchające, miny, torpedy i. t. p. są o tyle niedostateczne, że do użycia ich potrzebne są duże masy ludzi.

Tesla opowiada, jakim sposobem wpadł na pomysł zbudowania automatów, utrzymywanych w ruchu ze znacznej odległości. Otóż, każdy człowiek jest pewnego rodzaju automatem, gdyż bieg jego myśli i czynów zależy w znacznej mierze od podniet zmysłowych. Tesla uznał za możliwe zbudowanie automatów poruszanych elektrycznością, które, posiadając przyrządy czułe na fale elektryczne, mogły by być kierowane za ich pomocą i poruszać się jak żyjące istoty. Automatami takiemi można by zastąpić w zupełności olbrzymie armje wojenne.

Tesla obmyślił tymczasowo łódź automatyczną, która ilustruje praktycznie jego ideję. Łódź taka byłaby opatrzona w baterje akumulatorów; prócz tego posiadałaby specjalny aparat, któryby przyjmował fale elektryczne wysyłane z odległości; przyrząd ten odgrywałby rolę ucha w ludzkim organizmie. Fale elektryczne o znacznej sile, mogą być wytwarzane i wysyłane na odległość za pomocą specjalnego przyrządu, t. zw. elektrycznego oscylatora, który został wynaleziony przez Teslę.

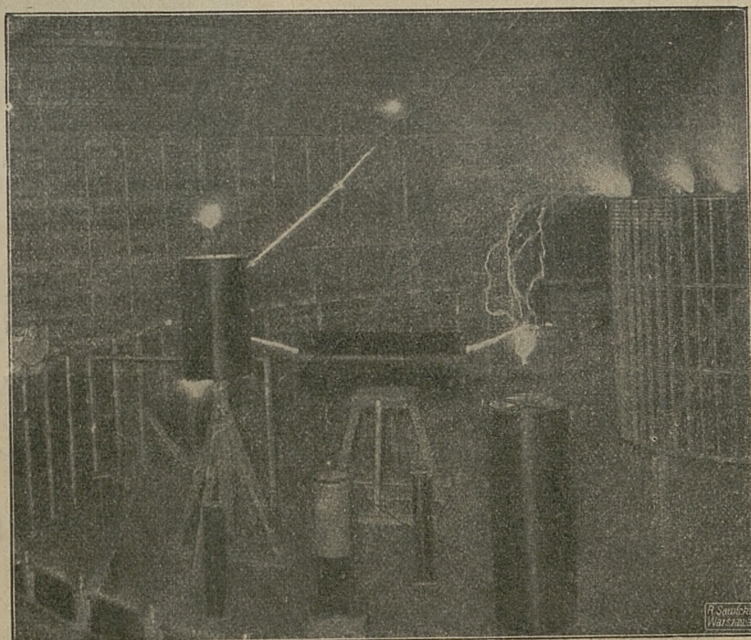
Otóż owe drgnienia elektryczne, przyjęte przez wspomniany aparat odbiorczy, umieszczony na łodzi, wywoływałyby w jej mechanizmie prąd elektryczny i wprowadzałyby ją w ruch. Taka łódź automatyczna, dająca się kierować i poruszać dowolnie bez ludzkiej, bezpośredniej obsługi, mogłaby służyć jako bardzo poważny środek walki nietylko obronnej ale i zaczepnej.

Tesla, wychodząc z założenia że słońce jest źródłem siły na ziemi, zajmował się kwestją oddania tej energji w dowolnej formie na usługi ludzkości. Urzeczywistnieniem tego pomysłu zajmowano się już dawniej; inżynier szwedzki Ericson wybudował nawet w tym celu t. zw. słoneczną maszynę, która niestety, okazała się l e użyteczną. Kwestja wydobywania elektryczności z węgla kamiennego za pomocą t. zw. zimnego spalania zajmowała również Teslę, jednakże zadania tego nie udało mu się rozwiązać. Prócz wyżej wymienionych pomysłów, miał Tesla na widoku nowy sposób wydobywania żelaza z rudy, oraz aluminjum ze zwykłej gliny; i tu elektryczność miała odegrać poważną rolę. Prąd elektryczny miał być użyty w tych razach jako środek do rozkładania wody, dla wydobycia wodoru, jako materjału palnego i środka odtleniającego; wydzielony tlen miał być używany do innych celów.

Fakt, że prąd elektryczny powstaje dzięki różnicom temperatury w różnych miejscach przewodnika, wprowadził Teslę na pomysł wybudowania olbrzymiego stosu termoelektrycznego, który, mając conajmniej kilka tysięcy metrów wysokości, dosięgałby górnych, zimnych warstw powietrza. Dzięki różnicy temperatur u swej podstawy i na szczycie, stos taki byłby niewyczerpanem źródłem prą-

du elektrycznego. Projekt ten, jako zbyt trudny do wykonania, Tesla odrzucił i w r. 1889 zajął się wydoskonaleniem systemu maszyn do wyrabiania i zużytkowania zgęszczonego powietrza. Wynalazek swój przedstawił na kongresie naukowym w roku 1893 w Chicago podczas trwania wystawy wszechświatowej. Aparat, zbudowany przez Teslę, składa się z maszyny do zgęszczania powietrza i t. zw. mechanicznego oscylatora, który wprowadza w ruch dynamo-maszynę, wytwarzającą prąd wi. Tesla wytwarzał z pomocą wynalezionych przez siebie przyrządów tak silny prąd zmienny, że ten po przejściu przez jego ramię i pierś topił dość gruby drut miedziany trzymany w dłoni, podczas gdy sam wynalazca nie odczuwał najmniejszego przykrego wrażenia.

Pierwszy rys. (w № 1) przedstawia aparat, który za pomocą wspomnianego elektrycznego oscylatora utlenia azot atmosferyczny. Prąd elektryczny w tym aparacie posiada napięcie



Rys. 2.

o wielkiej zmienności. Na specjalną uwagę zasługuje związany z tym systemem elektryczny oscylator, który niezmiernie potęguje wartość prądu.

Prąd zmienny o zwiększonej przez oscylator elektryczny ilości okresów, posiada wprost zdumiewające pod względem fizjologicznym własności: nawet przy napięciu kilkuset tysięcy wolt nie jest on szkodliwy dla organizmu. Spostrzeżenie to, uczynione przez Teslę okazało się owocne po nad wszelkie oczekiwania i wkrótce nabrało dla medycyny wielkiego znaczenia.

Bardzo wiele rezultatów, które wydawały się niemożliwemi do osiągnięcia, zostało urzeczywistnione dzięki temu drgającemu prądoprawie 12 miljonów wolt, a ilość jego okresów dosięga stu tysięcy na sekundę; on to właśnie pobudza obojętny azot do łączenia się z tlenem. Widoczny na fotografji ognisty pierścień wokoło aparatu jest utworzony przez rozpalone cząsteczki azotu; pierścień ów ma w średnicy 18—21 metrów.

Tesla stwierdził, że zmienny prąd elektryczny, wytwarzany przez oscylator elektryczny, może być źródłem oświetlenia bardzo taniego i wygodnego. Doświadczenia wykazały, że zamiast zwykłych dwubiegunowych lampek żarowych można zastosować przy takim prądzie lampki o jednym elektrodzie platynowym, które łączy się tylko z jednym biegunem aparatu (lampki jednobiegunowe).

Na drugim rysunku widzimy olbrzymie zwoje drutu, mające przenosić energję elektryczną na odległość, w celu, naprzykład, wprowadzenia w ruch wspomnianej automatycznej łodzi. Dolny koniec drutu jest połączony z ziemią i każda z owych cewek jest naregulowana na pewną ilość drgań prądu, wysyłanego bez pomocy przewodnika ze znacznej odległości przez elektryczny oscylator. Stojąca na prawo cewka dla silnych wyładowań jest uregulowaną na 50,000 drgań na sekundę; dwie inne duże cewki dają podwójną, stojąca zaś pośrodku, owinięta białym drutem—poczwórną ilość drgań.

Jak wskazuje załączony rysunek, podobna cewka zasila lampę żarową za pomocą jednego tylko drutu; dalsze ulepszenia pozwoliły w ten sposób zasilać do 500 lamp żarowych, a Tesla twierdzi, że nic nie staje na przeszkodzie, aby ilość tę dowolnie zwiększyć.

(D. n.).

## Drobiazgi.

— Słuchaj — mówi jeden anegdociarz do drugiego: opowiem ci paradną anegdotę.

— Poczekaj — przerywa drugi z pośpiechem: ja ci opowiem lepszą!

* * *

— Powiedz mi, od czego pochodzi wyraz *pochlebny*.

— Od... wyrazu... piekarz...

— A to znów dlaczego?..

— No... bo... piekarz chleb wyrabia przecie...

* * *

Kiedy Henryk IV, król Nawarry, będąc w krwawej bitwie, ujrzał że go swoi odstępują, zawołał gromkim głosem:

— Jestem królem dzielnych ludzi, a kto mnie opuści, godzien nazwy tchórza!

Od tej chwili *nikt* go nie opuścił.

* * *

Podczas wojennych rozruchów jeden z francuskich gwardzistów narodowych, pisał do swego znajomego:

— Piszę do ciebie, kochany przyjacielu trzymając w jednej ręce szablę a w drugiej pistolet.

* * *

Nadzwyczaj grzeczny młodzieniec został raz w towarzystwie zapytany przez pewną damę, czy w razie jej śmierci, przyjdzie na pogrzeb.

— Ach, z całą przyjemnością — odrzekł uprzejmy młodzian.

* * *

— Znudziłem cię, wszak prawda? — pyta gaduła Arystotelesa.

— Wcale nie, bom nie słuchał, co mówiłeś — odrzekł mędrzec.

* * *

Pewien uczeń po ukończeniu roku szkolnego, przyjechał na wakacje.

— No, cóż? — spytał go ojciec: jakże ci się udał ostatni egzamin?

— Tak dobrze—odparł syn, że muszę go na ogólne żądanie powtórzyć.

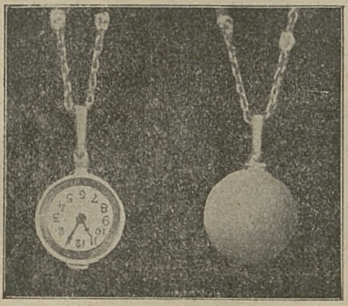
* * *

Pewien uczony, który nie cierpiał przeciągów, gdy raz. jadąc nocą, ograbiony został przez rabusiów, którzy mu wszystko zabrali z powozu, zawołał za nimi:

— A zamknijcie przecież drzwiczki od karety!

## NAJNOWSZE ZDOBYCZE NAUKI.

**Zegarek w perle.** Perły na zegarku nie należą do rzadkości, lecz zegarek w perle— zjawisko dotychczas nieznane. Ten okaz sztuki jubilerskiej, który rysunek nasz przedstawia w wielkości naturalnej, wykonał paryski zegarmistrz Ludwik Galopin, który pracował nad nim 15 miesięcy. Średnica zegarka równa się $14^1/_2$ milimetra. Szczególną trudność trzeba było pokonać przy wyżłabianiu w perle miejsca na pomieszczenie mechanizmu. Ten niezwykły zegarek oceniono na 30,000 franków.



## KRONICZKA.

△ Rząd uchwalił ostatecznie skup kolei Warsz.-Wied., znajdującej się w rękach prywatnych.

△ Mongolja korzystając z panującej w Chinach rewolucji, postanowiła odzyskać wolność, i w dniu 29 grudnia r. z. uroczyście ogłosiła swą niepodległość, zawiadamiając jednocześnie o wstąpieniu na tron cesarski, „dziesięciotysiącletniego" cesarza narodu mongolskiego, świętego Czżybcsuu-Damba-Chutuchby — żywego wcielenia Buddy na ziemi. Nowy cesarz Mongolski rezyduje w stolicy swej w Urdze.

Toż samo zamierza zrobić i Tybet, przyczem cesarzem ma zostać Dalaj-Lama.

△ Rewolucja w Chinach coraz szersze zatacza kręgi. Rewolucjoniści uroczyście wkroczyli do Nankinu, gdzie Sun-Jatsun ogłosił zrzucenie z tronu dynastji mandżurów oraz zaprowadzenie rzeczpospolitej, której pierwszym prezydentem został wybrany.

Idąc naprzód po drodze reform, lud chiński przyjął już kalendarz europejski.

△ Podobno między Turcją a Włochami ma przyjść do porozumienia, zostałby więc kres położony morderczej wojnie.

# „O własnych siłach".

## Łamigłówka sylabowa.

ułożona przez Iskierkę.

—o—

Następujące wyrazy zastąpić odpowiedniemi polskiemi, tak aby początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko poety polskiego.

Znaczenie wyrazów:

1. Wegetarjanin.
2. Sentymentalizm.
3. Młody pęd drzewa.
4. Solidarność.
5. Panteizm.
6. Fuzja.
7. Zadacznik.
8. Bogdychan.
9. Koryto,
10. Rama.
11. Kolacja.
12. Detektyw.
13. Trotuar.
14. Biblioteka
15. Czajnik.

## *Łamigłówka sylabowa*

ułożona przez «Strzemieńczyka».

—o—

Z następujących sylab ułożyć 9 nazw ulic m. Warszawy, których początkowe litery,

czytane z góry na dół, utworzą tytuł powieści drukowanej w „Naszym Świecie”.

Sylaby: no, ka, da, chmiel, a, pięk, do, pa, ko, lesz, ksan, na, zgo, na, wa, dzi, wia, la, le, gro, gry, drja, o, a.

## GAWĘDKA LISTOWNA.

*Białego Orlika* łamigłówka jest błędnie ułożoną; (nazwisko obrane: Czrnecki) drukowaną więc być nie może. To samo stosuje się do szarady, w której sylaby są mylnie rozdzielone i określone zbyt niewyraźnie (pierwsza stoi w sylab rzędzie). Z tego samego słowa mamy w zapasie szaradę dobrze ułożoną. Zwracam też uwagę na pisownię wyrazu: Ka*u*kaz (nie Ka*ł*kaz).

*Jerzemu D. w Moskwie.* Ogłoszenie nazwisk uległo tylko opóźnieniu o jeden tydzień lecz były one zamieszczone w N-rze 48-ym, gdyż list z rozwiązaniami został otrzymany. Nigdy nie pomijamy nadesłanych rozwiązań, jeśli są dobre, a te były bez błędów.

*Kazio Fels. z ul. Komitetowej* obrał za przedmiot łamigłówki nazwisko, które często spotyka się w nadsyłanych łamigłówkach. Jest ono wprawdzie naszą chlubą, lecz oprócz tego mielibyśmy i mamy wielu innych znakomitych muzyków, dlaczegóż mają być pomijani?

M. B. A.

Rozwięzanie łamigłówki sylabowej 1-ej i 2-ej z Nr. 50-go nadesłali: J. Kleiber, Napoleon, Kaczor z Suwałk, Biały Orlik.

Rozwiązanie łamigłówki kreskowej, sylabowej, zagadki i szarady z N-ru 51-go nadesłali: Kazimierz Zemlich, Stokrotka i Jadzia B., J. Kleiber, Napoleon, Telesfor z ul. Szpitalnej, Jerzy Dufrène.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej 1-ej i 2-ej z Nr. 52-go nadesłali: Kazimierz Zemlich, Biały Orlik, Telesfor z ul. Szpitalnej, Napoleon, Młoda Myśl, Siostra Błękitnego Krzyża, Malina, Rinaldo Rinaldini, Jerzy Dufrène.

Rozwiązanie łamigłówki chemicznej z Nr. 47.

1. Złoto
2. Yterb
3. Glin
4. Magnez
5. Uran
6. Nikiel
7. Tlen
8. Gal
9. Lit
10. Ołów
11. German
12. Erb
13. Rubid

Zygmunt Gloger.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 47.

1. Minerwa
2. Amicis
3. Rafael
4. Jeddo
5. Armawir
6. Wallenrod
7. Euzebja
8. Rebeka
9. York
10. Homer
11. Orator

Marja Weryho.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

**Warunki prenumeraty.**

| | w Warszawie | z przesyłką |
|---|---|---|
| Rocznie | rb. 2 kop. 50 | rb. 3 kop. 50 |
| Półrocznie | „ 1 „ 25 | 1 „ 80 |
| Kwartalnie | „ — „ 65 | — „ 90 |
| Rocznie z dodatkami w oprawie | rb. 4 kop. 30 | 5 „ 30 |

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:



Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa** DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.